

PAUL CHRISTOPHER

NOTES
MICHAŁA
ANIOŁA

Z angielskiego przełożyła
MAŁGORZATA ŻBIKOWSKA

KATOWICE 2006

Tytuł oryginału:
Michelangelo's Notebook

Copyright © 2005 by Christopher Hyde
Copyright © 2005 for the Pblish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2005 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Anna Rzędowska, Beata Iwicka
Projekt okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz
Zdjęcia na okładce: Copyright ©
Arte & Immagini srl/CORBIS

ISBN: 83-89779-20-X

Dystrybucja:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. kolejowa 15/17,01-217 Warszawa
tel/fiuc (22) 631 48 32.632 91 55
e-mail: hurt@olesiejuk.pl www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa:
www.merlin.com.pl
Diamond Business Park
ul. Jana Pawła II nr 66
05-500 Piaseczno

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
PI. Grunwaldzki 8-10,40-950 Katowice tel.
(32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl / www.soniadrage.pl

Katowice 2006. Wydanie I

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

PROLOG

22 lipca 1942

La Spezia, Wybrzeże Liguryjskie

Północne Włochy

Major Tiberio Bertoglio w mundurze czarnych brygad Mussoliniego - z hebanowymi naramiennikami, srebrnymi naszywkami w kształcie podwójnej litery M na krwistoczerwonych patkach na kołnierzu i ze srebrnoczarną trupią główką ze skrzyżowanymi puszczelami na furażerce - siedział na tylnym siedzeniu zakurzonej sztabowej lancierii, z rękoma założonymi na piersi w stylu *il duce*. Świetny wygląd nie szedł jednak w parze z dobrym samopoczuciem. Mundur był kamuflażem. Bertoglio wcale nie służył w wojsku, tylko pracował w powszechnie znienawidzonej Ovrze (Opera Volontaria di Repressione Antifascista) - Ochotniczej Organizacji do Walki z Antyfaszyzmem, tajnej policji Mussoliniego, włoskim gestapo.

Przyleciał rano z Rzymu starym, rozklekotanym samolotem *savoia marchetti SM 75*, z drozdem symbolizującym włoskie linie lotnicze *Ala Littoria* wciąż widocznym na ogonie pod trzema czarnymi pękami różg liktorskich z toporami - znakiem włoskich sił powietrznych. Po czterech godzinach huśtawki wylądował w bazie marynarki wojennej w La Spezia, wziął samochód sztabowy z kierowcą i oto właśnie zbliżał się do kresu podróży

Kierowca przejechał krętymi, wąskimi uliczkami *Portovenere* do portu rybackiego w *La Grazie*. W głębi wznosiła się potężna bryła dwunastowiecznego *Castello Doria*, od ośmiuset lat nieustannie broniącego wejścia do zatoki *Spezia*. W strzeżonej zatoce stała teraz połowa włoskiej floty, z okrętem wojennym „*Andrea Doria*” i jego bliźniakiem „*Giulio Cesare*”, zniszczonym i poczerniałym, lecz wciąż unoszącym się na wodzie.

Samochód zatrzymał się przy starej przystani. Bertoglio wysiadł z jeepa w piaskowym kolorze i strzelił służyście obcasami.

- Przyjedźcie po mnie za pół godziny - polecił kierowcy
- Tak jest, panie majorze. Za pół godziny.

Kierowca włączył silnik zdezelowanej lancierii i odjechał. Na gęsto porośniętej drzewami wyspie *Palmaria*, leżącej w odległości pół kilometra od zatoki określającej granice portu dla wioski rybackiej, stał długi, niski: budynek, siedziba klasztoru *San Giovanni All'Orfenio*. Usytuowany blisko brzegu, miał własne cementowe nabrzeże, przy którym kołysała się stara łódź przycumowana do czarnego żelaznego pachotka. Bertoglio rozejrzał się, wokół i kilka metrów dalej spostrzegł łódkę rybacką. Jej właściciel palił papierosa i rozmawiał z jakimś mężczyzną.

- Ile chcecie za przewiezienie mnie do klasztoru? - zapytał chłodno Bertoglio.

Rybak zmierzył go z góry na dół i zauważył wężykowaty naramiennik i charakterystyczne dla brygad Mussoliniego patki.

- A po co chce pan tam popłynąć? - zapytał. Brązowe kaprawe oczka zatrzymały się na czarnej furazerce. Trupia główka i piszczele nie zrobiły na nim wrażenia.

- Mam tam sprawę do załatwienia, staruszk. No więc ile byście wzięli za kurs?

- Tam i z powrotem?

- Tam i z powrotem - warknął Bertoglio. - Zaczekacie na przystani. Będę miał pasażera.

- To będzie kosztować więcej.

- Czemu mnie to nie dziwi, staruszk?

Drugi mężczyzna się uśmiechnął.

- Za każdym razem, gdy zwraca się pan do niego „staruszk”, cena rośnie - odezwał się. - On uważa, że jest młody jak koza i że wszystkie zakonnice chcą się z nim pieprzyć.

- Pieprzenie zakonnice zostawiam księdzu Bertole - uśmiechnął się starzec, ukazując sześć brązowych pieńków. - Może on lubi stare baby z wąsami, ale ja wolę młode dzierłatki, które można spotkać na promenadzie.

- Myślałby kto, że mają na ciebie ochotę...

- Ile? - zapytał Bertoglio.

- To zależy, ile pan ma.

- To przecież tylko siedemdziesiąt metrów.

- Jest pan Chrystusem, majorze? Potrafi pan chodzić po wodzie?

Bertoglio sięgnął do wewnętrznej kieszeni munduru, wyjął zwitek banknotów i odliczył z niego sześć. Rybak uniósł brew i Bertoglio dołożył kolejne sześć.

- Wystarczy - stwierdził rybak, po czym zakreślił szeroki łuk sękatą ręką. - Zapraszam do mojej królewskiej gondoli.

Bertoglio wsiadł niezgrabnie do łodzi i usadowił się na tylnej ławce. Rybak podążył za nim, wyjął długie wiosła, jednym odepchnął się od pomostu, osadził wiosła w dulkach i zaczął nimi energicznie wymachiwać. Bertoglio siedział sztywno wyprostowany, trzymając się nadburcia i czując lekkie mdłości, w miarę jak łódź wchodziła głębiej w morze. Na powierzchni wody dostrzegł kołyszące się duże wiadro z czymś brązowym, galaretowatym i cuchnącym. Żołądek podszedł mu do gardła.

- Głowy kałamarnic - wyjaśnił rybak. - Łapie się je, gdy zaczynają kopulować i wypływają na powierzchnię. Wtedy ścina się im głowy, zanim zdążą rozpylić spermę, i suszy na słońcu przez dzień lub dwa. To świetna przynęta.

Bertoglio nic na to nie odpowiedział. Patrzył na szybko zbliżający się

klasztor. Był to długi, niski budynek z dziwnym stopniem dostosowanym do skalistego otoczenia. Za klasztorem rozciągała się stromo opadająca ku morzu łąka i mały cmentarz z pomalowanym na biało żelaznym ogrodzeniem, ocieniony karłowatymi drzewkami oliwnymi, które rosły między nielicznymi nagrobkami i krzyżami.

Rybak skręcił w prawo, omijając cienkie słupki znaczące jaz na sardynki i śledzie, których lawirujące ławice miały się złapać w czasie przyływu, i podpłynął do małej przystani. Z klasztoru wyszła szczupła, niemłoda zakonnica w ciemnoniebieskim habicie i białym kornecie okalającym chudą twarz. Z rękoma ukrytymi w rękawach stanęła na skraju pomostu i czekała spokojnie na przybysza. Bertoglio ogarnął nagle strach i wstyd: uczucia zapamiętane z dzieciństwa, gdy takie jak ta zakonnice były dla niego najważniejszymi osobami w życiu i kierowały nim za pomocą różgi. Dlatego czuł się nieswojo, wysiadając z małej łodzi rybackiej. Zakonnica popatrzyła na niego, po czym odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę budynku klasztornego. Po chwili ogarnął ich chłód kamiennego, mrocznego wnętrza. Widocznie nie używano tu sztucznego światła. Bertoglio zamrugał powiekami. Zakonnica minęła obszerny, surowy westybul o ascetycznym wystroju i weszła do zwyczajnie wyglądającego pokoju z kilkoma półkami na książki, dużym drewnianym stołem, krzesłami i kominkiem z polnych kamieni. Przez szpary w zamkniętych okiennicach i żaluzje z szerokimi listewkami widać było wąski pas plaży i przystań. Bertoglio zauważył, że łódź, która go przywiozła, jest już na środku zatoeki.

- *Caccati in mano e prenditi a schiaffi!* - zaklął, uderzając pięścią we wnętrze dłoni.

- Pan coś mówił, majorze?

Z cienia przy kominku wyłoniła się niska zakonnica około czterdziestki, o sympatycznej twarzy. W przeciwieństwie do tej, która go tu przyprowadziła, opasana była w talii łańcuchem z drewnianych paciorków, a na szyi zawieszony duży żelazny krzyż, spoczywający na wydatnym biuście.

- Nie - odpowiedział Bertoglio. - Kim siostra jest? - zapytał obcesowo, wysunięciem podbródka nieświadomie naśladując duce.

- Jestem matka przełożona, siostra Benedetta. A pan zapewne jest człowiekiem, który miał się tu zjawić.

- Major Tiberio Bertoglio z szóstej dywizji MVSN w Tevere - warknął.

- Spodziewałam się kogoś z tajnej policji - odparła siostra Benedetta.

- We Włoszech nie ma tajnej policji - odpowiedział.

- A pan jest wytworem mojej wyobraźni - uśmiechnęła się ze znużeniem. - Przypuszczam, że niemieckie gestapo w zupełności wystarcza na oba kraje.

- Przyjechałem po dziecko - oznajmił Bertoglio. Sięgnął do kieszeni

munduru i wyjął małą kopertę z pieczęcią Watykanu ze skrzyżowanymi kluczami i potrójną koroną.

- Macie wysoko postawionych przyjaciół - zauważyła siostra Benedetta.

Podważyła pieczęć pulchnym palcem i rozerwała kopertę. Znajdowała się w niej metryka urodzenia i zezwalająca na wyjazd przepustka z pieczęcią Watykanu, rządu szwajcarskiego i niemieckiego urzędu imigracyjnego. Był także drugi komplet dokumentów dla osoby dorosłej, jeszcze bez wpisanego nazwiska.

- Te papiery są na nazwisko Frederico Botte.

- Tak się dziecko nazywa - odpowiedział Bertoglio.

- Nieprawda, i pan o tym wie, majorze.

- Teraz już tak. Proszę je przyprowadzić.

- A jeżeli powiem, że w tym klasztorze nie ma żadnego Frederika Botte?

- Wolałbym na to nie odpowiadać, matko przełożona. To żadnemu z nas nic nie da. Gdybyście ukryły dziecko lub go nie przyprowadziły, reperkusje byłyby bardzo poważne. - Urwał. - Ja wypełniam tylko polecenie - dodał po chwili. - Zapewniam matkę, że nie sprawia mi to przyjemności.

- Dobrze.

Siostra Benedetta wzięła leżący na gzymsie kominka mały dzwoneczek i potrząsnęła nim. Wydał zgrzytliwy dźwięk. Po chwili weszła młoda kobieta ubrana po cywilnemu: w spódnicę, bluzkę i sweter. Trzymała za rękę mniej więcej trzyletniego chłopczyka w krótkich spodenkach, białej koszuli i wąskim krawacie. Ciemne włosy zaczesano mu do tyłu z pomocą wody. Miał wystraszoną minę.

- Oto chłopiec, a to jest siostra Filomena. Będzie dbała o jego potrzeby. Mówi po niemiecku i po włosku, nie będzie więc kłopotów z porozumieniem się.

Podeszła do młodej kobiety, ucałowała ją w oba policzki i wręczyła jej dokumenty. Siostra Filomena wsunęła papiery do głębokiej kieszeni jasnego kardiganu. Wyglądała na równie przerażoną jak chłopiec. Bertoglio rozumiał jej strach. Sam byłby przerażony, gdyby jechał tam, gdzie ona.

- Łódź, która mnie tu przywiozła, odpłynęła. Jak dostaniemy się na stały ląd?

- Mamy własny środek transportu - odpowiedziała siostra Benedetta.

- Proszę iść z siostrą Filomeną.

Bertoglio kiwnął głową, strzelił obcasami i już miał unieść rękę w fałszywym pozdrowieniu, lecz się rozmyślił.

- Dziękuję za współpracę, matko przełożona.

- Robię to tylko dla chłopca. On nie ma nic wspólnego z tym całym szaleństwem... w przeciwieństwie do nas wszystkich. Do widzenia.

Bertoglio odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Siostra Filomena i chłopczyk podążyli za nim. W drzwiach mały odwrócił głowę.

- Do widzenia, Eugenio - szepnęła siostra Benedetta.

Podeszła do okna i patrzyła przez szpary w żaluzjach na trzy postacie idące pomostem. W łodzi czekał już Dominik, chłopak z wioski posługujący w klasztorze. Pomógł wsiąść małemu, a potem siostrze Filomenie. Major usadowił się na dziobie. Wyglądał jak Jerzy Waszyngton przekraczający rzekę Delaware. Dominik wyjął wiosła. Po kilku sekundach byli już

w wąskiej zatoce oddzielającej wyspę od stałego lądu.

Siostra Benedetta patrzyła na oddalającą się Łódź, dopóki figurka chłopca nie zniknęła jej z oczu. Wtedy wyszła z pokoju i długim korytarzem, po którego obu stronach znajdowały się cele, dotarła do drzwi w niższej części budynku, za łazienkami i toaletami. Otworzyła je i znalazła się na dworze. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, gdy wąską, stromą ścieżką szła w kierunku cmentarza. Minęła go, aż dotarła do kwiecistej dolinki, nad którą unosił się mocny zapach rosnących wokół sosen.

Szła dalej ścieżką, aż na małą polankę. Tu przystanęła, wsłuchując się w westchnienia wiatru i odległy szum morza. Jeżeli Katerina cokolwiek kochała, to właśnie to miejsce. Tu odnajdywała spokój i wytchnienie w wypełnionej obawami życiowej gmatwaninie. Ksiądz z Portovenere nie chciał pochować jej w poświęconej ziemi i w końcu siostra Benedetta ustąpiła. To miejsce było bez wątpienia bliżej Boga i Katerina na pewno wołałaby je od każdego innego.

Bez trudu odnalazła prosty marmurowy krzyż wśród gęstego bluszczu. Uklękła i rozsunała płożące się wici, odsłaniając napis.

Katerina Maria Teresa Annunzio

26 51914

22 10 1939

Pacem

Wolno zdjęła różaniec, który nosiła na prawym ręku i ścisnęła go w złożonych dłoniach. Patrząc na kamienny krzyż, zaczęła szeptać starą modlitwę papieży, którą odmówiła młoda kobieta, zanim rzuciła się w morze.

Jak słodko brzmią te słowa:

Wielbię Ciebie, Matko.

Jak słodko jest powtarzać:

Wielbię cię, o Święta Matko.

Jesteś moją radością, nadzieją i miłością,
siłą w pokonywaniu przeciwności losu.

Gdy moja dusza,

nękana przez żądze,

cierpi w boleści,

smutku i płaczu,

gdy widzisz, jak twoje dziecko

przytłaczają przeciwności losu,

pozволь mi, o szczodrobliva Dziewico Maryjo,

znaleźć spokój w Twoich ramionach.

Niestety, koniec jest już bliski.

Pogrzeb szatana w piekielnych czeluściach

i bądź przy mnie,

twoim starym, zbłąkanym dziecku, najdroższa Matko.

Łagodnym dotykiem

zamknij znużone powieki

i oddaj Bogu

duszę, która do Niego powraca.

Amen.

Wiatr wzmógł się, jakby jej odpowiadał, a gdy ucichł na chwilę, wróciła jej dziecięca wiara i znowu poczuła radość z obecności Boga. Zaraz jednak rozproszył ją gwałtowny podmuch i poczuła łzy spływające po policzkach. Pomyślała o majorze Bertoglio, Filomenie i chłopcu, o Katerinie i o pełnym pychy, bezbożnym mężczyźnie, który doprowadził dziewczynę do zguby. Dla niego nie było modlitwy, lecz przekleństwo, które pamiętała jeszcze z dzieciństwa: żebyśgnił we własnym grobie, żeby zjadło cię robactwo, żeby twoja dusza gniła w rozkładzie na oczach rodziny i świata, żebyś był przeklęty na wieczność i znalazł spokój jedynie w lodowatych ogniach piekielnych!

Jej włosy miały kolor miedzi. Błyszczące i połyskliwe, proste przy głowie, po kilku centymetrach zmieniały się w burzę naturalnych loków spływającą na blade ramiona i kształtne, niezbyt duże piersi, obsypane w górnej części drobnymi piegami, o bladoróżowych sutkach, przypominających barwą wnętrza egzotycznych muszli. Długie ręce wyglądały na znacznie mocniejsze niż można by się spodziewać po kobiecie wzrostu metr sześćdziesiąt pięć. Dłonie były delikatne, o szczupłych, dziewczęcych palcach, z krótko obciętymi paznokciami.

Miała wysoką klatkę piersiową i płaski brzuch z malutkim pępkiem. Pokrywające wzgórek łonowy włosy były jedynie o odcień jaśniejsze od płynnej miedzi i jak u większości rudowłosych kobiet, miały kształt idealnego klina, skrywającego tajemne miejsca między udami.

Z długiej szyi osłoniętej kaskadą włosów wyłaniały się gładkie plecy z jasnoczerwonym znamieniem wielkości dziesięciocentówki. Miało ono kształt rogu i znajdowało się tuż nad szczeliną rozdzielającą drobne muskularne pośladki. Całości dopełniały długie nogi z mocnymi łydkami, kształtnymi kostkami, przechodzącymi w drobne, delikatne stopy o wysokim podbiciu.

Twarz okolona grzywą rudych włosów była równie doskonała jak ciało. Szerokie, gładkie czoło, wydatne kości policzkowe, pełne usta bez żadnych sztucznych powiększeń, dość szeroka linia szczęki znamionująca siłę przy ogólnym wrażeniu niewinności, które wprost z niej emanowało, trochę zbyt długi i zbyt wąski jak na klasyczną piękność nos obsypany

piegami i zachwycające oczy - wielkie, zadziwiająco inteligentne, o intensywnie zielonej barwie.

- Proszę państwa, czas minął! - Dennis, nauczyciel rysunku z natury w New York Studio School, klasnął w dłoń i uśmiechnął się w stronę niewielkiego podium. - Dzięki, Finn; to tyle na dzisiaj.

Odpowiedziała mu równie miłym uśmiechem. Dwanaście osób odłożyło przybory do rysowania na parapety sztalug i pracownię wypełnił gwar rozmów. Modelka sięgnęła po stare kimono w czarno-białe kwiaty, włożyła je, owiązała się paskiem w talii, zeszła z małego podium i skryła się za stojącym w rogu sali wysokim chińskim parawanem. Nazywała się Fiona Katherine Ryan, dla przyjaciół Finn. Miała dwadzieścia cztery lata. Większość krótkiego życia spędziła w Columbus w stanie Ohio, lecz od półtora roku studiowała i pracowała w Nowym Jorku, delektując się każdą spędzoną tu chwilą. Wzięła części garderoby, złożone na oparciu składanego krzesła, szybko się ubrała i wrzuciła kimono do plecaka. W wytartych lewisach, ulubionych tenisówkach i jaskrawożółtym T-shircie, który miał ostrzegać kierowców, gdy pędziła przez miasto, pomachała na pożegnanie uczestnikom zajęć rysunku z natury, a oni odpowiedzieli jej tym samym gestem. Po drodze wzięła czek od Dennisa i po chwili była już na ulicy skąpanej w ostrym słońcu.

Odpięła od latarni stary rower kurierski o grubych oponach, włożyła plecak do stalowego koszyka z pudełkiem po bananach, wsunęła łańcuch i kłódkę do bocznej kieszeni plecaka, czarną nylonową gumką zebrała włosy w koński ogon, wcisnęła na głowę zniszczoną zieloną baseballówkę i przeciągnęła kiték przez otwór w tyle. Na koniec przerzuciła nogę przez ramę roweru, chwyciła za kierownicę i wyjechała na Eighth Street. Minęła dwie przecznice i skręciła w Sixth Avenue, kierując się na północ.

Muzeum Sztuki Parker-Hale mieściło się na Fifth Avenue, między ulicami Sixty Fourth i Sixty Fifth, naprzeciwko Central Park Zoo. Budynek został zaprojektowany na rezydencję dla Jonasa Parkera, który dorobił się majątku na Tabletkach Wątrobowych Babuni. Zanim jednak objął władzę w posiadanie, zmarł na nierozpoznaną chorobę układu oddechowego. Jego współnik, William Whitehead Hale, zamienił dom na muzeum. Gdy już obaj panowie zatroszczyli się o wątroby narodu, wybrali się w podróż do Europy, gdzie mogli oddawać się zamięłowaniu do sztuki. W ten sposób powstało muzeum Parker-Hale z tak bogatymi zbiorami, że ich właściciele mieli przejść do historii raczej jako kolekcjonerzy dzieł sztuki niż jako wynalazcy Tabletek Babuni. Obrazy stanowiły eklektyczną mieszankę - od prac Braque a i Constablea po płótna Goi i Moneta.

Działające jako fundacja muzeum miało radę nadzorczą, w której zasiadały same znakomitości: od burmistrza i komisarza policji po sekretarza kardynała Nowego Jorku. Nie było to największe muzeum w mieście, lecz zdecydowanie jedno z bardziej prestiżowych. Staż w dziale sztuchów i rysunków był dla Finn wielkim osiągnięciem, bo dzięki temu mogła potem liczyć na lepsze stanowisko w muzeum niż inna osoba z tytułem magistra historii sztuki. Praca ta pozwalała też zmyć z siebie piętno absolwentki prowincjonalnego uniwersytetu w Ohio.

A skończyła studia właśnie na stanowym uniwersytecie Ohio, bo jej mama pracowała na tamtejszym wydziale archeologii i mogła zapewnić córce darmową naukę. Niestety, życie w Nowym Jorku nie było już za darmo,

Finn musiała więc chwycić się wszelkich możliwych prac, by uzupełnić stypendium i skromne oszczędności z colleagueu. Dlatego pozowała malarzom, udostępniała swoje dłonie i stopy do reklam, kiedy tylko agencja dawała jej takie zlecenie; uczyła angielskiego imigrantów, pilnowała dzieci i domów, opiekowała się roślinami i zwierzętami. Czasami miała wrażenie, że wiecznie będzie gdzieś pędzić i nigdy nie zwolni.

Pół godziny później zajęła przed muzeum, przypięła łańcuchem rower do latarni i pokonała schody prowadzące do ogromnych drzwi zwieńczonych klasycystyczną płaskorzeźbą przedstawiającą skąpo odzianą postać w pozycji półleżącej. Zanim pchnęła drzwi z mosiężnymi okuciami, mrugnęła do reliefu porozumiewawczo - jak jedna naga modelka do drugiej. Zdjęła czapkę, zsunęła gumkę ściągającą rozpuściła włosy i upchnęła wszystko w plecaku. Uśmiechnęła się do Freda, starego, siwego strażnika, i wbiegła po szerokich schodach z różowego marmuru, zatrzymując się po drodze na półpiętrze, aby przez chwilę popatrzeć na obraz Renoira *Kąpiące się*.

Chłoneła nasycone, pełne wdzięku kreski i chłód niebiesko-zielonych barw sceny w lesie, nadających obrazowi nadzwyczajny, niemal tajemniczy nastrój. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, czy jest to jedna z powracających fantazji malarza, by przypadkowo natknąć się na grupę rozmarzonych, pięknych kobiet w jakimś odległym miejscu. Na ten temat można było napisać setki rozpraw i esejów, lecz bez względu na to, co ona o tym sądziła, był to po prostu piękny obraz.

Patrzyła na niego pełne pięć minut, po czym obróciła się i pobiegła wyżej. Przeszła przez małą salę z obrazami Braque'a i krótkim korytarzem dotarła do drzwi nieoznaczonych żadną tabliczką. Otworzyła je i weszła do środka. Jak w większości galerii i muzeów, obrazy i dzieła sztuki eksponowano w wydzielonych salach, natomiast muzealna praca toczyła się tak naprawdę za ich ścianami. W tej ukrytej strefie, do której dopiero co

weszła Finn, mieścił się dział grafik i rysunków. Było to właściwie jedno długie pomieszczenie wzdłuż północnego skrzydła budynku, z ciasnymi biurami kustoszy przy oknach. Za nimi ciągnęły się sale wystawiennicze ze sztucznym oświetleniem.

Zbiory przechowywano w stojących pod wewnętrzną ścianą, niezliczonych zdawałoby się komodach o wysuwanych blatach wyłożonych papierem bezkwasowym. We wnękach pomiędzy komodami, sięgającymi Finn mniej więcej do ramienia, stały biurka, krzesła i duże, podświetlone stoły służące do oglądania obiektów. Blaty stołów wykonano z tafli matowego szkła oprawionego w mocne drewniane ramy. Każde stanowisko było wyposażone w sprzęt fotograficzny potrzebny do wykonywania slajdów inwentarzowych sztychów i rysunków. W co drugiej wnęce stał terminal komputerowy z dostępem do bazy danych zbiorów. Tu można było znaleźć zdjęcia dzieła, dokumenty jego zakupu i informacje o jego pochodzeniu.

Przez całe lato Finn sprawdzała, czy zgadzają się numery na slajdach i na aktach dotyczących pochodzenia dzieł. Była to żmudna praca, ale dwudziestoczteroletni, nieopierzony młodszy kustosz powinien do takiej przywyknąć. Co matka stale powtarzała? „Jesteś naukowcem, kochanie, nawet jeżeli twoją dziedziną jest sztuka, i wszystko, co zrobisz, zaprocentuje w przyszłości”.

Zaprocentuje w przyszłości. Finn uśmiechnęła się, wzięła z szafki notatnik z ołówkiem i podeszła do komody, przy której pracowała poprzedniego dnia. Po obronie pracy spędziła rok we Florencji, miejscu urodzin Michała Anioła; chodziła jego drogami i uczyła się języka. Opląciło się, mimo że tyłek miała siny od podszczypywania przez wszystkich, poczynając od gościa z archiwum, a kończąc na głupkowskim starym księdzu z biblioteki w Santo Spirito.

Oczywiście wiedziała, że pierwszego dnia w pracy nie będzie organizować wystaw malarza florenckiego renesansu. Poza tym obiecano jej, że

jeśli sprawdzi się jako stażystka, w przyszłym roku dostanie stałą posadę. Chciała jakoś przeżyć w Nowym Jorku okres studiów magisterskich, co jest kosztowne, nawet jeśli się wynajmuje klitkę w dzielnicy Alphabet City.

Znowu pojawił się Fred, który robił obchód; wsunął klucz do drzwi stróżówki i poszedł dalej. Poza tym nikogo w dziale nie było, co bardzo jej odpowiadało. Znalazła szufladę, na której skończyła poprzedniego dnia; włożyła białe bawełniane rękawiczki i wzięła się do pracy. Spisywała numery widniejące na wykonanych z folii octanowej okładkach grafik, a potem szła z nimi, a czasami i z grafikami, do wnęki, by porównać je z numerami w bazie danych.

Po dwóch godzinach ziewała i widziała podwójnie, ale nie przerywała pracy. Skończyła jedną szufladę i zabrała się do następnej, położonej tak nisko, że musiała przykucnąć, by ją otworzyć. Dzięki temu zauważyła, że jeden z rysunków schował się w małej szczelinie w tyle szuflady - dopóki się jej całkowicie nie wysunęło, łatwo było go przeoczyć. Finn wysunęła szufladę do końca i na oślep wymacała brzeg okładki. Dopiero po chwili chwyciła go kciukiem i palcem wskazującym, a następnie delikatnie pociągnęła. W końcu udało się jej uwolnić rysunek i wyciągnąć go na światło dzienne. Zamykając szufladę nogą, z bliska przyjrzała się zdobyczy. Omal nie zemdląła.

Arkusz miał wymiary mniej więcej piętnaście na dwadzieścia centymetrów, brzeg z lewej strony był krzywo ucięty albo oberwany. Nawet przez okładkę mogła dostrzec, że jest to wysokiej jakości pergamin, prawdopodobnie z jagnięcej skóry, wygładzony kredą i pumeksem. W przeszłości musiał stanowić część notesu, dolny róg nosił bowiem ślady szycia.

Rysunek wykonano tuszem w kolorze sepia tak dawno, że kontury częściowo wyblakły. Było to arcydzieło, najwyraźniej z epoki renesansu. Przedstawiało kobietę o wyraźnie widocznych obfitych piersiach i biodrach tak szerokich, że mogłaby uchodzić za tęgą. Na szkicu nie uwidocznilo jej głowy, rąk ani nóg.

Niezwykłe w tym rysunku było to, że ciało kobiety wyglądało na rozcięte przez sam środek, z usuniętymi żebrami i mięśniami klatki piersiowej. Na podobnie otwartej szyi widniała jasna rurka żyły szyjnej oraz grubszej od niej i bardziej wystającej tętnicy, biegnącej do góry aż za ucho. Odślonięte były również płuca, nerki i serce.

Wątrobę narysowano starannie i wyraźnie, za to żołądek pominięto, żeby lepiej uwidocznili macicę i dalej w dół - otwarty cylinder pochwy. Z równą dokładnością narysowano szyjkę macicy i wargi sromowe. Twórca nie zapomniał oczywiście o mięśniach i więzadłach podtrzymujących macicę oraz inne organy wewnętrzne, a także o naczyniach krwionośnych.

Był to przepięknie wykonany rysunek anatomiczny kobiety chyba w średnim wieku. Nie zgadzało się tylko jedno. W epoce renesansu nie wy-

konywano sekcji zwłok. Nazywano je wiwisekcją i karano śmiercią. Leonarda da Vinci oskarżono i sądzono w takiej właśnie sprawie, lecz w końcu zarzuty oddalono. Oskarżano też współczesnego mu Michała Anioła, ale on nigdy nie stanął przed sądem.

Przez wiele lat inni artyści i myśliciele wspominali w swoich pamiętnikach, że Michał Anioł w zмовie z przeorem korzystał z kostnicy szpitala Santo Spirito we Florencji, by rysować ciała. Ponieważ jednak nigdy nie odnaleziono mitycznego notesu Michała Anioła, nie było na to żadnego dowodu.

Finn przyglądała się rysunkowi. Spędziła rok we Florencji i większość tego czasu poświęciła na pogłębianie wiedzy na temat dzieł Michała Anioła i epoki, w której żył. Nawet napis u dołu rysunku przypominał próbki jego drobnego, kanciastego pisma. Bez zastanowienia wyciągnęła z plecaka małą cyfrową minoltę. Wiedziała, że jeśli ją przyłapią, będzie miała duże kłopoty, ale czuła, że musi mieć zdjęcie tego szkicu, żeby przestudiować go

w wolnej chwili. Byłaby to idealna ilustracja do jej pracy naukowej. Dyrektor Parker-Hale, Alexander Crawley, był pedantycznym biurokrata: musiałaby wypełnić tysiące dokumentów, uzyskać setki pozwoleń, zanim dałby jej choć nadzieję na zrobienie zdjęcia. Wykonała dwanaście ujęć, po czym schowała aparat do plecaka i odetchnęła z ulgą, że nikt jej nie zauważył.

Ostrożnie przeniosła rysunek na podświetlany stół, gdzie zbadała go dokładniej za pomocą jubilerskiej lupy wyjętej z szuflady biurka. Zapiski na tyle wyblakły, że nie mogła odczytać słów; przypuszczała jednak, że są to notatki zrobione w czasie sekcji zwłok kobiety. Według dostępnych źródeł, kiedy ktoś umierał w szpitalu Santo Spirito, ciało składano w kostnicy, owijano na noc w płótno, a następnego dnia wkładano do trumny Michał Anioł, dysponując kopią żelaznego klucza, zakradał się tam po zmroku, przeprowadzał sekcję zwłok, by obejrzeć interesujące go akurat w tej chwili fragmenty ciała, i wymykał się przed świtem. Prawdopodobnie używał jakiegoś dziwnego przyrządu, który utrzymywał świecę na czole, ale Finn nie miała co do tego pewności. Zwiedziła szpital Santo Spirito, łącznie z kostnicą. Na podstawie tego, co czytała na temat ekonomii tamtych czasów, była prawie pewna, że przeor dostawał jakieś pieniądze od artysty i że te wszystkie pogłoski i opowieści są prawdziwe.

Teraz już mogła stwierdzić z przekonaniem, że rysunek, na który patrzy, został wykonany nie z pamięci, lecz z natury. Powoli docierało do niej, co właśnie odkryła. To karta z mitycznego notesu Michała Anioła. Wiedziała nawet, kto go oprawiał: Salvatore del Sarto, zaprzyjaźniony introligator, który zwykle zszywał arkusze ze szkicami do fresków artysty. Ale dlaczego rysunek wepchnięto na tył szuflady i jak on trafił do muzeum?

Sprawdziła numer inwentaryzacyjny na okładce i zapisała go w notatniku, po czym podeszła do komputera, zalogowała się i wpisała numer, by znaleźć slajd. Ku jej zaskoczeniu na ekranie pojawiła się informacja „brak

danych”. Wróciła do głównego menu i zażądała danych o wszelkich dokumentach związanych z tym numerem inwentaryzacyjnym. Pojawiło się nazwisko Santiago Urbino, drugorzędnego weneckiego artysty, którego mgliście pamiętała, i drugi numer - ten zawiódł ją z powrotem do głównego menu i dokumentacji dotyczącej pochodzenia rysunku. Odsyłacz do szkicu, nazwiska artysty i pochodzenie dzieła się zgadzały.

Według danych z komputera, rysunek wykonał Urbino, a zakupiła go z prywatnej kolekcji szwajcarska filia Hoffman Gallery w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku. W tysiąc dziewięćset trzydziestym sprzedano go Galerii Etienne Bignou w Paryżu, w tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmym roku nabyła go Rosenberg Gallery i w końcu znowu Hoffman Gallery. Ta sprzedała go Williamowi Whitehead Hale'owi w czasie jego ostatniej przedwojennej podróży do Europy w tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiątym roku. Od tego czasu rysunek stanowił część zbiorów muzeum.

Finn wróciła do głównego menu i weszła do pliku z biografią Santiago Urbino. Żył w tej samej epoce co Michał Anioł i Leonardo da Vinci; został aresztowany za wiwisekcję zwierząt przeprowadzaną w celach niemoralnych, ekskomunikowany i w końcu stracony Finn gapiła się w ekran, odgarnęła włosy i przytrzymała je. Historycznie rzecz ujmując, miało to sens, wiedziała jednak, że tak podrzędny malarz; jak Urbino nie mógłby wykonać tego rysunku.

- Mogę zapytać, co pani robi, panno Ryan?

Finn drgnęła i odwróciła się. Tuż za nią stał dyrektor Alexander Crawley z wściekłym wyrazem twarzy i z rysunkiem Michała Anioła w dłoni.

Crawley był przystojnym mężczyzną po sześćdziesiątce, o gęstych szpakowatych włosach, kwadratowej twarzy i inteligentnych oczach. Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu i Finn była przekonana, że nosi korki w drogich butach. Ubrany był jak zwykle w trzyczęściowy garnitur, ale tego popołudnia prezentował się wyjątkowo elegancko, zapewne z powodu wieczornej kwesty, na którą jej nie zaproszono. Zauważyła również, że Crawley nie ma na rękach białych rękawiczek, chociaż trzyma jeden z muzealnych eksponatów. Może dyrektorzy nie miewają tłustych rąk ani innych zanieczyszczających substancji na palcach. Zwróciła mu na to uwagę, a wówczas jego twarz z czerwonej zrobiła się sina.

- To, czy mam rękawiczki, czy nie, nie powinno pani obchodzić - odparł. - Mnie natomiast obchodzi, dlaczego bez wyraźnego powodu wyjęła pani ten rysunek.

- Był w szufladzie, którą porządkowałam. Początkowo myślałam, że to część stałego inwentarza.

- Początkowo?

- Myślałam, że został źle opisany.

- Nie rozumiem.

- Według numeru inwentaryzacyjnego jest to rysunek Santiago Urbino, pośledniego weneckiego malarza.

Crawley spojrział na nią urażony

- Wiem, kim był Santiago Urbino.

- Moim zdaniem to pomyłka. Sądzę, że jest to rysunek Michała Anioła.

- Michała Anioła Buonarrotiego? - zapytał zdumiony Crawley - Pani oszalała.

- Nie sędzę - odparła Finn. - Dokładnie się mu przyjrzałam. Nosi wszelkie znamiona dzieła Michała Anioła.

- A więc przez sześćdziesiąt pięć lat przechowywaliśmy stronę z zaginionego notesu Michała Anioła, nie mając o tym pojęcia, i nagle młoda studentka, która nie obroniła jeszcze pracy magisterskiej, wyskakuje ni z tego, ni z owego z czymś takim. - Zaśmiał się nieszczerze. - Nie sędzę, panno Ryan.

- Przejrzałam spis inwentarzowy - nie dawała za wygraną Finn. - Muzeum nie ma innych prac Urbino. Dlaczego akurat miałby mieć tę?

- Prawdopodobnie dlatego, że spodobała się panu Parkerowi lub panu Haleowi.

- Nie chce pan nawet wziąć pod uwagę, że to może być dzieło Michała Anioła?

- I pozwolić pani napisać pracę na ten temat, co przysporzyłoby mnóstwa kłopotów zarówno muzeum, jak i mnie? Ani pani staż tutaj, moja droga, ani pani ego nie są dla mnie tyle warte.

- „Moja droga”? Finn albo panno Ryan - odparowała gniewnie. - I moje ego nie ma tu nic do rzeczy. Rysunek nie jest dziełem Urbina, tylko Michała Anioła. Ktoś, kto go opisywał, popełnił błąd.

- Kto go opisał i kiedy? - zapytał Crawley.

Finn wystukała kilka liter na klawiaturze i przeszła na koniec opisu.

- A. C, jedenasty czerwca dwa tysiące trzy. - Oho, to dopiero niezręczność.

- Alexander Crawley. To ja. Nie tak dawno temu.

- W takim razie może chodzi o pańskie ego - rzuciła Finn.

- Nie, panno Ryan; nie o moje ego, lecz o pani kompetencje, i pozwolę sobie dodać, że o pani arogancję.

- Studiowałam prace Michała Anioła we Florencji przez cały rok!

- A ja studiowałam prace mistrzów przez całe swoje zawodowe życie. Jest pani w błędzie i fakt, że nie chce się pani do tego przyznać i ustąpić

przed bardziej doświadczonym historykiem sztuki, uświadamia mi, że nie jest pani osobą, której potrzebujemy. Kiedy pani ego dochodzi do głosu, znika zawodowy rozsądek. Obawiam się, że będę musiał przerwać pani staż w Parker-Hale.

- Nie może pan tego zrobić!

- Ależ mogę. - Uśmiechnął się ironicznie. - Właśnie to zrobiłem. - Znowu się uśmiechnął. - Proponuję, aby zabrała pani osobiste rzeczy i wyszła, co oszczędzi nam dalszych kłopotów. - Pokręcił głową. - Wielka szkoda. Była pani ślicznym dodatkiem do naszego małego zespołu.

Finn wpatrywała się w niego przez chwilę, nie do końca wierząc w to, co usłyszała; po czym wyszła z wnęki, chwyciła plecak i wybiegła. Czuła, że za chwilę się rozpłacze, a okazanie słabości przed tym aroganckim sukinsynem było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła. Pięć minut później sie-

